

IWONA
SURMIK

WIEŻA PRAGNIEŃ

 SAGA

Iwona Surmik

Wieża pragnień

Saga

Wieża pragnień

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 0, 2021 Iwona Surmik i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726891485

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

WIEŻA PRAGNIEN

Równina wokół Pelandoru usłana była trupami. Z niektórych ciał sterczały strzały lub włócznie, inne stratowano końskimi kopytami, ale większość zwłok wydawała się nienaruszona. Wiejący od gór wiatr szarpał odzienia i rozwiewał włosy, odsłaniając twarze zmarłych, ukazywał dziwacznie wykręcone członki. Oczy trupów były nienaturalnie wytrzeszczone, usta rozwarłe do krzyku, a w zaciśniętych dłoniach zamiast oręża można było dostrzec strzępy ubrań, wyrwane włosy, kępy wyschniętej trawy. Polegli wyglądali jakby zmarli nie w bitwie, lecz ze strachu. Ponad tym przerażającym pobojuwiskiem unosiły się chmary ptactwa, obrzydliwie skrzeczące, gotujące się na ucztę.

Mimo tysięcy zabitych Pelandor zdobyto, a z jego obrońców nikt nie pozostał żywy. Dumni zwycięzcy przechadzali się wzdłuż poszczerbionych murów, spoglądali na fasadę zamku i świeżo zatknięty na blankach proporzec. Przemierzali zasypane gruzem ulice, place i ogrody ze strzaskanymi fontannami. Ciała poległych jeszcze nie zdążyły ostygnąć, zdeptana ziemia nie wchłonęła ich krwi, domy płonęły, a oni już snuli plany odbudowy i uczynienia z Pelandoru swojej stolicy, symbolu nowego porządku.

Wśród tych zgliszcz tylko jedna budowla pozostała nienaruszona. Była to strzelista, kamienna wieża, ustawiona w pewnej odległości od zamku. Ku niej właśnie podążył młody człowiek ubrany w szarą szatę. Nikt nie zauważył jego odejścia, nie zawrócił ani nie poszedł za nim, więc młodzieniec stanął samotnie naprzeciw iglicy.

Z bliska wyglądała jakby wyciosano ją z jednego skalnego bloku, pozbawiona była drzwi i okien. W wypolerowanej, kamiennej powierzchni wyraziście odbijała się sylwetka krążącego wokół. Odbicie było tak wierne, że młody mężczyzna z niedowierzaniem dotknął gładkiej ściany. Kiedy

lustrzana powierzchnia zarysowała się, ukazując drzwi, pchnął je bez namysłu i wszedł do ciemnego przedsionka.

ZBROJA

Komnata na szczycie wieży zdawała się być pozbawiona ścian. Miała drewnianą, wyłożoną kobiercem podłogę i zawieszony nad nią belkowany sufit, ale przestrzeń pomiędzy nimi była pustką. Kunsztownie tkany arras zawieszony był w próżni, a ciężkie, rzeźbione meble stały na skraju przepaści. Wystarczyło jednak wyciągnąć dłoń, by poczuć pod palcami idealnie przezroczystą i gładką powierzchnię. Poprzez nią widać było całą okolicę: fasadę zamku, mury obronne, równinę i las, aż do skalistych pagórków odcinających się szaro od pobielonych śniegiem drzew.

Spokojny, nieruchomy krajobraz powoli roztapiał się w mroku, gdy nagle zaszła w nim zmiana. Na szczycie burego wzgórza pojawiła się ledwo widoczna plamka.

Znużony obserwator ożywił się. Chwilę jeszcze patrzył na odległy punkcik, uśmiechając się i zacierając dłonie, a potem podszedł do lustra ustawionego pod niewidoczną ścianą. Wyciągnął rękę i dotknął zmatowiałej powierzchni. Jego zamglone odbicie zafalowało i zniknęło, a w gładkiej tafli odbiły się kolory zachodzącego słońca.

* * *

Gian wjechał na wzgórze i rozejrzał się wokół. Powietrze było przejrzyste, takie jakie bywa w mroźny, zimowy dzień. Barwy zachodu słońca lśniły niczym tęcza, załamywały się na konturach lasu, pagórków i dolin, uwypuklały cienie na widocznych na wschodzie murach Pelandoru. Zabarwione światło sączyło się przez okna zamku, sprawiając wrażenie obserwujących otoczenie źrenic. Jeździec niemal czuł, jak ten wzrok skupia się na nim, a czujne spojrzenie przewierca go na wylot. Wzdrygnął się i zwrócił oczy na wieżę stojącą w oddaleniu od głównego budynku. Była ciemna i ponura; martwy, kamienny blok, niby palec wycelowany

oskarżycielsko w kolorowe niebo. Jakby na przekór tej martwocie unosiła się nad nim smużka dymu.

Słońce powoli chowało się za horyzontem, a feeria fioletów, czerwieni i żółci przygasała, zamieniając się w czerń nocy. Pelandor rozpływał się w tej czerni, by po chwili stopić się z nią w jedno. Jeździec zawrócił i zjechał ze wzgórza do upatrzonej wcześniej kotliny, by spędzić tam noc. Rankiem znów ruszył na wschód.

Podróżował od wielu dni. Ciepła, zimowa odzież była brudna i zniszczona, twarz nosiła ślady trudów i zmęczenia nieustanną czujnością, a wierzchowiec miał zapadnięte boki. Mimo to Gian nie tracił czasu na dłuższy wypoczynek ani gorący posiłek. Jediną zwłoką, na którą sobie pozwolił było polowanie. Musiał mieć świeże mięso. Przez cały ten czas wrażenie, że jest obserwowany, nie zniknęło, a im bliżej był celu, stawało się coraz bardziej natrętne.

Pelandor pojawiał się przed nim, kiedy pokonywał kolejny wzgórek i zniknął, gdy zjeżdżał w dolinę, ale jeździec wiedział, że zamek czeka na niego, nieruchomy i niezmienny, jednaki od setek lat.

Nim zjechał z ostatniego wzgórza i pozostawił za sobą oszronione drzewa, słońce minęło zenit i powoli rozpoczęło swoją wędrówkę ku zachodowi. Przed nim rozciągała się równina. Koń zarżał i zatańczył nerwowo, gdy silną ręką pokierował go na jałową glebę.

Równina Kości otaczała zamek ze wszystkich stron, niczym zaklęte koło. Mimo, że wszystko wokół pokrywał śnieg, tu ziemia była sucha i pozbawiona życia, nie rosła na niej najmniejsza roślina, jej wnętrza nie spulchniały najpodlejsze robaki, a deszcz i śnieg wysychały na powierzchni, nie przenikając w głąb. Im dalej posuwał się jeździec, tym otoczenie stawało się bardziej przerażające. Pomiędzy splekanymi grudami widać było bielejące kości czaszek śledzące go pustymi oczodołami, a powietrze, ciężkie i nieruchome, zdawało się pełne bitewnych odgłosów. Gian mógłby przysiąc, że słyszy świst strzał, bojowe okrzyki i gardłowo wyrzaskiwane rozkazy. W miarę zbliżania się do zamku, w tym ledwie słyszalnym szumie, coraz więcej było bólu i żałości, niż bitewnego zapachu.

Jechał otoczony odgłosami dawno rozegranej walki, z włosami zjeżonymi ze strachu, z sercem ściśniętym żalem tych, co umarli. Kiedy

wreszcie zatrzymał się za murami, wszystko ucichło. Zsiadł z konia i ruszył na dziedziniec.

Dopiero z bliska widać było, że to nie pełen życia zamek, lecz ruiny, tak samo martwe jak równina. W opasujących je murach widoczne były wyłomy, na kamieniach, niczym świeże rany, wyraźnie odznaczały się rysy po grotach strzał, a oparzeliny od ognia ciemniały sadzą, jakby bitwa o Pelandor rozegrała się ledwie wczoraj, a nie przeszło pięć wieków wcześniej. Kiedy Gian spoglądał na twierdzę wczorajszego wieczora, zdawało mu się, że zamek przetrwał nietknięty, teraz przekonał się, że z okazałego budynku pozostała tylko frontowa ściana, strasząca pustymi oczodołami okien, z wejściem prowadzącym donikąd.

Błąkając się pomiędzy ruinami, natrafił na miejsce, które niegdyś musiało być ogrodem. Kamyki wyznaczały ścieżki, a wzdłuż nich stały kamienne ławy. Wstrząsnął nim widok drzew, szarych jak ziemia i jak ona martwych. Trwały, dając świadectwo, że niegdyś toczyło się tu życie.

Wyszedł z ogrodu i skierował się ku wieży. Tylko ona naprawdę była taka, jaką widział ją z oddali – ciemna i groźna, ale i w niej było coś z majestatycznego piękna, które można było dostrzec w fasadzie zamku. Zbudowano ją z czarnego kamienia wypolerowanego tak, że mężczyzna ujrzał w nim własne odbicie. Zafascynowany gładkością budulca zdjął rękawicę i nagą dłonią dotknął swego lustrzanego wizerunku.

... w palcach poczuł mrowienie, jak gdyby poruszył nie martwe głązy, lecz żywe, czujące ciało. W umyśle uformował mu się obraz Elaine. Czuł ciepło jej skóry: miękkiej i jedwabistej. Dłonie mu zwilgotniały, oddech przyspieszył, mięśnie napięły...

Siedzącego przed lustrem obserwatora przeszedł dreszcz, kiedy odczuł siłę pożądania tulącego się do kamiennych ścian rycerza. Poczuł, jak w żyłach krew zaczyna tętnić w dawno zapomnianym rytmie, a ciało drży w oczekiwaniu. Kradł cudze pragnienia, rozkoszując się ich siłą, pozwalając, by napełniały go nową energią. Pustka, która nastąpiła, kiedy przybysz cofnął dłoń, przyprawiła go kolejny dreszcz, ale te parę chwil bezpośredniego kontaktu wystarczyło, by zatęsknił za obecnością drugiego człowieka. Otworzył drzwi.

* * *

Twarz Giana płonęła ze wstydu i upokorzenia, ciało wibrowało podnieceniem. Patrzył oszołomiony na gładką taflę kamienia, nie pojmując, co mu się przytrafiło. Mimo determinacji, która popchnęła go do tej szalonej wyprawy, gotów był zawrócić, opuścić to martwe, przekłete miejsce, kiedy w lustrzanej powierzchni wieży, ukazało się wejście. Gapił się na szczelinę, którą przesączało się światło, nie dowierzając zmysłom. Wreszcie ubrał rękawicę i ostrożnie popchnął drzwi. Były prawdziwe. Przekroczył je i znalazł się w malutkim, widnym przedsionku. Wokół stojącego na środku filara wiły się schody. Kiedy postawił nogę na pierwszym stopniu wejście zniknęło, a światło zgasło. Cofnął się, ale ciemność nie ustąpiła, a ściana znów była tylko gładkim kamieniem.

Wspinał się, stukając mieczem w kolejne stopnie. Choć z zewnątrz wieża nie wydawała się wysoka, idąc wciąż w górę i w górę miał wrażenie, że całe lata pełźnie po schodach, niczym robak przemierzający podziemne korytarze. Nim stanął na podeście kończącym schody oddychał głośno i ciężko, a łydki drżały mu z wysiłku.

Kolejne drzwi uchyliły się zachęcająco, wszedł więc zdecydowanie i zatrzymał się, osłupiałym wzrokiem wodząc po niezwykłym wnętrzu. Poraził go widok zawieszzonego w powietrzu arrasu i powały, która powinna runąć mu na głowę. Gdzieś na skraju świadomości błysnęła myśl, że wszak znajduje się we wnętrzu wieży, a brak ścian jest tylko iluzją, sztuczką mającą go otumanić i przestraszyć. Mimo to bał się poruszyć, uczynić choćby najmniejszy krok ku przepaści. Na samą myśl o tym zakręciło mu się w głowie. Opuścił miecz i wsparł się, mocno zaciskając palce na karbowanej rękojeści. To przywróciło mu odrobinę równowagi.

Słońce jeszcze nie zaszło i oświetlało wykonane z ciemnego drewna meble, ukazując misterne rzeźbienia w kształcie liści i kwiatów, jakich Gian wcześniej nie widział. Były równie niezwykłe jak te, które dostrzegł na wyblakłym gobelinie i rozłożonym na podłodze kobiercu. Obudowane szarymi kamieniami palenisko migotało języczkami ognia, a w komnacie panował zaduch nigdy nie wietrzonego pomieszczenia.

Umknęła mu chwila, kiedy zza wysokiego oparcia stojącego tyłem krzesła wysunęła się drobna postać i stanęła na wprost niego. Zaskoczony, oślepiiony płomieniami rycerz wziął ją za gnoma, taka była mała i pokraczna. Dopiero po chwili zorientował się, że to nie baśniowy potworek, lecz człowiek, staruszek o dłoniach z powykręcanyymi ze starości palcami, łysej czaszce i twarzy pooranej głębokimi zmarszczkami. Wydał się Gianowi tak stary, że aż odrażający, niczym żywy trup. Jednak w tej wiekowej fizjonomii tkwiły zadziwiająco przenikliwe oczy o przekrwionych białkach.

– W..., witaj – wyjąkał rycerz, czując jak pod tym spojrzeniem wilgotnieją mu dłonie.

– Dawaj mięso – zaskrzeczał staruch i wyciągnął kościstą rękę.

– Tyś jest mag Ala..., Alaukadus?

– Tak, tak – zniecierpliwił się starzec. – Pokaż mięso.

Rycerz sięgnął do przewieszanej przez ramię sakwy i wyciągnął dwa zające i bażanta ze zwisającym smętnie pokrwawionym ogonem, plon ранego polowania.

Mag zatarł dłonie i mlasnął.

– Pieczyste, zupa i gulasz – zagulgotał, śliniąc się obficie. – Nie stój tak, bierz się do roboty.

Gian nie ruszył się z miejsca, czując, jak powracają zawroty głowy. Mocniej zacisnął dłonie na mieczu.

– Ściany... Gdzie się podziały ściany? – wychrypiał.

Alaukadus zaniósł się niesamowitym, skrzekliwym śmiechem i wykonał nieznaczny gest palcami. W miejscu, gdzie przedtem była tylko pustka, pojawił się gładko wypolerowany kamień. Gian poczuł się pewniej, kiedy sufit wsparł się na solidnej podporze ścian, a meble zajęły kąty. Blask ognia odbijał się w lustrzanej powierzchni i oświetlał teraz pomieszczenie łagodnym, rozproszonym światłem.

– Zadowolonyś? To rusz się nareszcie – pogonił go mag.

Gian skubał, patroszył, mieszał w garnkach niczym kuchcik i czuł coraz większą złość. Zaciskał zęby, żeby mu się nie wyrwało jakieś nieopatrzne słowo, które rozwścieczy maga. Kiedy posiłek był wreszcie gotów, jadł bez apetytu. Teraz on nie spuszczał oczu z Alaukadausa. Patrzył, jak mieli

bezzębnymi dziąsłami kawałki mięsa, jak siorbie zupę, nie zważając na spływające mu po brodzie i plamiące ubranie strużki śliny.

– Czym się żywisz, skoro mięso przynoszą ci tylko goście? – zapytał i odwrócił wzrok. Nie mógł dłużej znieść odpychającego widoku.

Mag beknął głośno i wepchnął do ust obśliniony kawałek mięsa, który spadł na talerz.

– Tym – wybełkotał, wskazując leżące na stole suchary. – Spróbuj.

Rycerz wziął kawałek i ostrożnie posmakował. Na języku poczuł kruchość delikatnego pieczywa, lepkość miodu i słodycz owoców.

– Dobrze – pochwalił i zjadł następnego.

– Ja też tak myślałem. Kiedyś – wzruszył ramionami mag.

Otarł usta rękawem, odsunął talerz z resztkami, znowu beknął i spojrzał na Giana.

– Opowiedz, co sprawiło, że odważyłeś się wstąpić na Równinę Kości i odwiedzić to przeklęte miasto umarłych – zagał.

Teraz, kiedy przyszedł długo oczekiwany moment, rycerzowi nagle zabrakło słów. Trudno mu było podzielić się swymi uczuciami z tym odrażającym staruchem. Ciągle się zastanawiał, kiedy poczuł na przegubie szponiastą dłoń maga.

– Nie brak ci chyba odwagi? Mów – usłyszał.

Wzdrygnął się, ledwo znosząc ten zimny i wilgotny dotyk.

Jesteś głupcem, skarcił się w duchu i zaczął mówić. Opowiadał krótkimi zdaniami, przerywał i milkł w nieoczekiwanych momentach, nie śmiejąc podnieść oczu na starca.

– Wyruszam na wojnę... Zima ustępuje, wiosną Darlyk roześle wici. Jestem wojownikiem, rycerzem. Walczyć u boku króla to moja powinność i mój honor. Nie boję śmierci... Kanatia każdego weźmie do swoich ogrodów, a lepiej zginąć na polu bitwy, niż gnić w łożu, we własnych szczyinach... Rzekłem, że nie boję śmierci i tak jest naprawdę..., ale widzisz... ja nie chcę, nie mogę zginąć na tej wojnie. Nie teraz... Muszę żyć, dla niej! Nie śmieć się, magu! Na bogów, nie śmieć się! Nie znasz mojej Elaine, nigdy nie widziałeś jej wabiącej postaci, słodkiej twarzy, nie słyszałeś głosu... Długo się o nią starałem... Nie jestem chudopachołkiem i mam pozycję na dworze, ale rodziciele nie chcieli mi jej dać za żonę, bo...

popędliwy jestem i w pojedynkach albo i zwykłych burdach nie mała łbów poszczerbiłem. Kawalerski żywot wiodłem i dziewczek z daleka też nie omijałem... A ona to wypieszczona jedynaczka, delikatna jak kwiat... Przekonałem ich nareszcie i zaślubiny jesienią się odbyły. Teraz Elaine nareszcie moja! I brzemienna jest, latem będzie rodzić. Całym sercem ją miłuję, dobrze nam razem. Na wojnę iść muszę i walczyć dla króla, ale przysięgę sobie i jej złożyłem, że żywym powrócę... O tobie powiadają, żeś mag na świecie największy. Uczyń jakieś czary albo eliksiru mi zadaj, żebyśmy się mogli jeszcze spotkać...

Mag słuchał z przymkniętymi oczami. Uczucia targające rycerzem zalewały go niczym fale. Czuł prawdę zawartą w każdym słowie, doświadczał żaru miłości, rozkoszy spełnienia i niewyobrażalnego gniewu, żalu i strachu – nie o siebie, lecz o kobietę, którą będzie musiał opuścić, może na zawsze.

Gian wstał i gwałtownie przerwał tę grabież. Alaukadus patrzył, jak rycerz przechadza się niecierpliwie wzdłuż stołu, nerwowo przygryza wąsy i machinalnie bawi się sprzączkami pasa. Naładowany był emocjami, o jakich on, największy mag Nowego Świata, mógł tylko marzyć. Jego egzystencja była równie jałowa, jak ziemia wokół wieży. Owładnęła nim zazdrość i żal za życiem, które dobrowolnie porzucił.

– I cóż, magu? Pomożesz mi?

Głos Giana był jak nieprzyjemny zgrzyt: schrypnięty z podniecenia, przepelniony prośbą i nadzieją.

Alaukadus zamyślił się.

– Nie znam ani eliksiru, ani czaru, który na dłużej ochroniłby cię przed niespodziewaną śmiercią – powiedział w końcu i całym sobą poczuł rozczarowanie rycerza. To nieprzyjemne uczucie wstrząsnęło nim równie mocno jak pożądanie, zniecierpliwienie, gniew. – Ale jest pewien artefakt, pozostałość po... nich – dodał, ścisząc głos.

Eksplozja nadziei była równie silna, jak przedtem wszechogarniająca beznadziejność. Zgasłe oczy Giana nabrały blasku, a ruchy żywości.

– A więc jest szansa! Gotów jestem na wszystko! Zapłacę, ile chcesz! – wykrzykiwał nieskładnie.

– To nie kwestia ceny, rycerzu – zmięgował go mag.

– Więc czego?

– Badałem pozostałości po Najstarszych i wiem jedno: rzadko która rzecz jest tym, czym się wydaje.

– Nie rozumiem.

– To prawda, nie rozumiesz – mruknął Alaukadus bardziej do siebie niż do Giana. – Jesteś młody, zapalczywy i widzisz tylko cel, który chcesz osiągnąć, bez względu na cenę jaką przyjdzie ci zapłacić. Nie, ty nie rozumiesz...

– I nie chcę rozumieć! – krzyknął Gian – Co ty, stary, możesz wiedzieć o moich pragnieniach... Czy kochałeś kiedy tak gorąco, żeś gotów był poświęcić wszystko, byle tylko być z umiłowaną? Troszczyć się o nią, dawać miłość... I nie dbać o cenę – dokończył łamiącym się głosem.

Mag poruszył się niespokojnie, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Zacisnął zęby i wstał.

– Chodź ze mną.

Poprowadził go po kręconych schodach aż do podziemi wieży. W migotliwym blasku pochodni przemierzali kolejne sale, niektóre puste, inne po sufit wypełnione beczkami, skrzyniami, omszałymi butlami albo zagracone retortami i probówkami. Gdzieś niedaleko słychać było szum wody z podziemnego źródła. Zatrzymali się wreszcie w pomieszczeniu mniejszym od innych. Po kątach i u powały zwieszały się olbrzymie pajęczyny, a stojące pod ścianami kufry pokryte były grubą warstwą kurzu.

– Niczego nie dotykaj – ostrzegł go mag, podchodząc do pierwszej z brzegu paki. Otworzył ją, przerzucił kilka przedmiotów i ponownie zamknął.

– Nie ten, nie ten – mamrotał, przeszukując kolejne. – O, tu jest...

Wyjął coś i z hukiem zatrzasnął wieko.

Gianowi zdawało się, że starzec obejmuje powietrze, bo choć wysiłał wzrok nie potrafił niczego dostrzec. Alaukadus na widok jego miny zaniósł się śmiechem.

– Weź garść piachu i sypnij tutaj.

Rycerz posłusznie rzucił ziemią zebraną z podłogi. Osadzone na przezroczystym materiale drobinki uwidoczniły trzymany przez maga przedmiot. To była zbroja, przejrzysta, jakby wykuta ze szkła.

– Ten pancerz, to jedyne co mogę ci ofiarować. Nie przebije go żadna strzała, nie przetnie miecz. Jeśli naprawdę tego chcesz, jeśli twoja miłość aż tyle warta, załóż ją na gołe ciało. I nie bacz na cenę...

Gian nagle poczuł, jak lodowate zimno spływa mu wzdłuż kręgosłupa i lokuje się w żołądku. Zacisnął szczęki by powstrzymać ich drżenie i rozebrał się pośpiesznie. Mag ostrożnie, z namaszczeniem zaczął mocować poszczególne części pancerza, przecierając je wcześniej połą szaty.

Rycerz od dziecka przywykł do ciężaru kolczego pancerza, ale ta zbroja była inna. Jej fragmenty łączyły się, nie pozostawiając najmniejszej szczeliny. Była bardzo lekka i zdawała się dopasowywać do jego sylwetki, nie uwierając przy tym.

– Bez ochrony pozostaje tylko krocze i twarz – tłumaczył mu Alaukadus, kiedy w rękach pozostała mu ostatnia część. – Ten hełm nie ma przyłbicy. Jesteś gotów?

Gian skinął głową i poczuł na swym czole kościste dłonie starca.

– Skończone – sapnął mag.

W chwili, kiedy hełm połączył się z resztą pancerza, ciało Giana eksplodowało bólem. Czuł, jakby setki malutkich igiełek wbijało mu się w skórę, drażąc w niej malutkie korytarze, by w następnej chwili dotrzeć do krwioobiegu. Zaczął się więc w męce, wrywać włosy, z oczu pociekły mu łzy. Zdawało się, że ból nie może być większy. Pomylił się. Igiełki dostawszy się do krwi podążyły wraz z nią, docierając do każdego zakamarku ciała, rozsadzając go na miliardy cząstek. Nie mógł znieść tych męczarni, zemdlał.

Ocknął się skulony na brudnej podłodze. Z przegryzionego języka kapłała krew, zabarwione na czarno opuszki palców pozostawiły wyraźne ślady na ziemi. Nad sobą ujrzał przenikliwe spojrzenie Alaukaudusa.

– Jakże się czujesz?

A jak się mogę czuć, przecież umarłem?! – krzyknął w duchu, nim uświadomił sobie, że ból ustąpił.

Ze złością odsunął wyciągniętą dłoń i wstał. Dotknął skóry na rękach, potem pogładził policzek.

– Nie ma żadnej różnicy – powiedział zdumiony.

– Zbroja stała się częścią ciebie, wrosła w ciało – wyjaśnił mu Alaukadus.

– Jak ją zdejmę?

– Nie zdejmiesz.

– Jak to? Nie powiedziałeś mi... – oskarżył go rycerz, znów czując lodowaty chłód strachu.

– Stary już jestem, pamięć mnie zawodzi – powiedział z jawnym szyderstwem mag. – Ty młody, kochasz, pragniesz, a cena twego pragnienia nieważna.

Gian zacisnął zęby i zaczął się ubierać.

– Naprawdę nie chcesz żadnej zapłaty? – wycedził wreszcie.

– Na co mi złoto czy klejnoty? Zachowaj je dla swojej pani.

– Pozostanę więc twoim dłużnikiem. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

Alaukadus skinął obojętnie głową.

– Późno już, a tyś zmęczony. Wyruszysz jutro z rana. Równina Kości i za dnia jest straszna, ale nocą... Przed umarłymi nie uchroni cię żadna zbroja, wierz mi – dodał, kiedy zobaczył, że Gian zamierza protestować.

Rycerz wzruszył ramionami i powlókł się na górę.

Poranne pożegnanie było krótkie. Gian chciał się wreszcie uwolnić od świdrującego wzroku maga i przykrego widoku jego starości, a Alaukadusa znużyła jego obecność i niechęć, którą odczuwał w każdym geście czy słowie. Gdy tylko rycerz przekroczył próg, drzwi zniknęły bez śladu, a gładkie kamienie znów odbijały tylko martwe, wypalone mury zamku.

WOJNA

Za murami Pelandoru, poza granicą wyznaczoną przez Równinę Kości, zima przeminęła, wiosenny wiatr osuszył ziemię. Spod śniegu wyłoniła się trawa i zakwitły pierwsze kwiaty. Drzewa pokryły się lepкими pąkami, z których wystrzeliły liście, pełne ptasich świergotów powietrze pachniało świeżością. Lecz pora, którą powszechnie uważa się za początek nowego życia tym razem niosła w sobie zapowiedź śmierci. Loor szykowało się do wojny.

Południowe granice królestwa, które wyznaczała rzeka Derenna nigdy nie były bezpieczne, bo osiadłe na drugim brzegu barbarzyńskie plemiona Begenów dawały się we znaki osadnikom. Pograniczne potyczki były krwawe, mimo to nie brakło chętnych do osiedlenia się na rubieżach. Ziemia tam była urodzajna i można ją było dostać za symboliczną sztukę złota, w zamian za gotowość do obrony i życie z mieczem, łukiem czy kłonicą w zasięgu ręki. Baronowie bogacili się i zyskiwali na znaczeniu, a wieśniacy z zapałem orali i obsiewali pola, mozolnie ciułając zarobione miedziaki.

Przeszły rok był złym czasem dla południowej prowincji. Napady Begenów stały się częstsze niż zwykle, a ich okrucieństwo i bezwzględność przejęła ludzi trwogą. To już nie były zajazdy w parę koni, żeby zrabować tuczną świnie czy podpalić spichlerz, lecz bezlitosne napaści znaczone trupami zabitych, rozdzierającym płaczem kobiet i zgliszczami domostw. Rozzuchwaleni barbarzyńcy zapuszczali się daleko od rzeki, siejąc śmierć i pożogę. Nie pomogło wzmocnienie stanic pobudowanych wzdłuż Derenny ani odwetowe wypadki.

Król Darlyk, od roku dopiero dzierżący berło Loor, odbierał te ataki jako osobisty afront. Wszak, póki żył jego ojciec, król Barthold, Begenowie nie byli tak zuchwali, szanując niepisana granicę. Teraz może uznali, że młody władca niezdolny jest do powstrzymania ich napaści.

Darlyk postanowił ukrócić te zuchwalstwa i udowodnić, że choć jest młody, to miecz, który nosi przy boku nie jest tylko pustym rekwizytem, lecz bronią, z której potrafi zrobić użytek. Niepokoiły go również doniesienia szpiegów o tym, że niezorganizowane dotąd bandy obrały jednego przywódcę i stworzyły zręby państwa, które w niedalekiej przyszłości mogło zagrozić Loor.

Nim kra spłynęła wartkim nurtem rzeki, a ziemia obeschła, na Polanie Stu Kroków, w pobliżu granicznej rzeki, zgromadziło się prawie cztery tysiące żołnierzy: lekkiej jazdy, piechoty, łuczników, kilkunastu wojowników mauri i prawie osiem dziesiątek ciężkozbrojnych rycerzy, nad którymi dowództwo objął sam Darlyk, mając do pomocy doświadczonego w bojach z barbarzyńcami barona Calika i swego doradcę Marsalla.

* * *

Derenna była rzeką rozlaną szeroko, wartką i pełną wirów. W miejscu, które wybrano na przeprawę brzeg schodził stromo, skalistym wąwozem, a bród był podwodnym wałem szerokim na pięć kroków. Prąd był silny, ale woda dosyć płytka, a wyjazd dogodny, na łachę piasku i obrośnięty trzcina płaski teren. Wysłany przodem oddział rozpoznawczy przejechał spokojnie, jednak zamiast posuwać się dalej, zatrzymał się na miniaturowej plaży. Obserwujący ich z przeciwnego brzegu dowódcy widzieli, jak jeźdźcy wala się pod gradem strzał. Paru z nich udało się zawrócić i zdyszani, mokrzy od stóp do głów, stawili się przed królem.

– Umocnienia tam jakoweś pobudowane – meldował jeden, a reszta potakiwała w milczeniu. – Drzewa w zwały ułożone, a pomiędzy nimi płoty z wikliny oblepionej gliną stoją i wyjazd zagrażają. Za nimi łucznicy siedzą, psie syny. Trudno będzie ich obejść, a wozy bez te drwa nie przejadą.

Król posłał na drugi brzeg prawie trzystu żołnierzy, lecz wrodcy łucznicy wycofali się, do ostatka rażąc strzałami, nim żołnierze stanęli na brzegu. Nie ścigano ich, bo uskoczyli w las. Rozebrano zawały i wojsko przeprawiło się na drugi brzeg. Naprzeciw mieli puszcę, którą Loorczycy pełniący służbę w nadgranicznych stanicach, przeklęli nie raz. Nie było tam wyrębanych dróg, tylko ścieżki, wąskie i kręte. W pobliżu rzeki, gdzie teren był podmokły, wiodły na porośnięte trzcina trzęsawiska, w których zapadali się ludzie i konie. Hordy, które przekraczały Derennę znajdowały tam schronienie, a pościg królewskich żołnierzy mało kiedy wracał żywy. Teraz cała armia musiała wejść w te bory, bo innej drogi nie było.

Przez kilka dni wojsko posuwało się wzdłuż linii drzew, póki nie odnaleziono zaznaczonego na mapie miejsca. Rozłożono się na nocleg, a o świtanie, ledwie pierwsze promienie słońca rozświetliły ciemność, puszcza zadrżała od uderzeń siekier, którymi wyrąbywano tysiącletnie drzewa, z ich pni układając drogę, którą mogły przejechać wozy.

Begenowie obserwowali ich czujnie i nie dawali chwili wytchnienia. Atakowali to przednią, to tylną straż, zabijając i raniąc ludzi i zwierzęta, wycofywali się i atakowali ponownie w innym miejscu. Dwukrotnie udało

im się płonącymi strzałami podpalić tabory. Wysyłani przodem zwiadowcy nie wrócili żywi, a ich obdarte ze skóry ciała znaleziono zawieszane na gałęziach. Wojsko, które tylko w niewielkiej części składało się z regularnych żołnierzy, a w większości z chłopów oderwanych od pługów i siewu, wodziło wystraszonymi oczami po drzewach i za każdym wypatrywało wroga. W szeregach szeptano o duchach nawiedzających puszcę i urokach, jakie ponoć potrafili rzucać barbarzyńcy, o krwawych ofiarach. Nie doszło jeszcze do żadnej bitwy, do żadnej bezpośredniej potyczki, a już strach ścisnął im gardła. Nawet ci, którzy przeżyli niejedną kampanię dziwnie się czuli w tym borze, który zdawał się mieć oczy, uszy i, co gorsza, uzbrojone w łuki i miecze dłonie.

* * *

Gian, wyznaczony do pełnienia tylnej straży, nie czuł lęku, nie zauważał niepewnych spojrzeń ani ukradkowych znaków odczyniających uroki. Przywdział swoją koleczą zbroję, ścisnął w palcach przewiązany błękitną wstążką kosmyk włosów Elaine i ruszył na tyły.

Po przejściu tysięcy ludzi i przejechaniu dziesiątków wozów ułożona z bali droga była błotnista i rozjeżdżona. Unosiły się nad nią roje much zwabionych ludzkimi i zwierzęcymi odchodami. Konie rżały, ostrożnie stawiając kopyta pomiędzy wdeptanymi w ziemię pniakami, wiatr szeleścił liśćmi i gwałcił ciemne, napęczniałe deszczem chmury.

Rycerz wysiłał wzrok i słuch, ale szum lasu i natrętne brzęczenie owadów głużyły dźwięki. Sam nie wiedział co go ostrzegło, co sprawiło, że krzyknął nim świsnęła w powietrzu pierwsza strzała.

– Z koni! – wrzasnął, pochylając się nisko nad grzbietem swego wierzchowca.

Żołnierze zsuwali się z siodeł i kryli za szerokimi zadami, usiłując dojrzeć łuczników. Gian wypatrzył ich pierwszy.

– Tam! – Pokazał ukrytego w koronie drzewa mężczyznę. – Paru konie trzymać, żeby nie uciekły, a reszta z łuków szyc po drzewach, choćby na oślep!

Otoczeni żywą palisadą przerażonych, kwiczących i wierzgających zwierząt żołnierze zaczęli strzelać. Gian kłął bardziej z nawyku niż potrzeby, bo ludzie sprawiali się dzielnie. Mimo, że w zamieszaniu trudno było wycelować, to strzały nierzadko trafiały celu i widać było ciała barbarzyńców walące się z drzew niczym przejrzałe gruszki. On sam nie zważał na grad pocisków i częściowo osłonięty martwym wierzchowcem posyłał strzały celniej niż inni. Begenów widać nie było wielu, bo ostrzał najpierw przycichł, a potem ustał zupełnie.

Ciężko było przedzierać się przez końskie trupy i zostawić na miejscu potyczki martwych towarzyszy, ale czasu do zmierzchu było coraz mniej, a pozostanie na noc w tej groźnej puszczy równało się śmierci, o tym wiedzieli wszyscy. Pozbierano tylko strzały, skrócono męki ciężko rannym i ruszono spieszenie, aby dogonić główne siły. Tylną straż objął nowy oddział.

Dopiero nocą, kiedy rozbito obóz na przeciwległym skraju lasu Gian zdjął swą kolczą zbroję. Była wgnieciona, żelazne kółka w niektórych miejscach przerwały się, w tunice i koszuli było parę dziur, ale ciało znaczyły tylko podeszłe krwią sińce.

* * *

Pokonawszy nieprzyjazny las, wojska zaczęły posuwać się w głąb terytorium Begenów. Pustoszyły z rzadka rozłożone wsie i osady, nie oszczędzając nikogo i niczego. Armia króla Darlyka pozostawiała po sobie trupy i zgliszcza.

Barbarzyńcy unikali otwartej walki. Nękali wojska potyczkami, mordowali podjazdy, atakowali tyły, usiłowali odciąć tabory. Żołnierze byli zmęczeni nieustanną czujnością, wyciem dzikich hord, dającym w ten sposób znak swojej obecności i siekącym deszczem, który rozmiękczał ziemię i wychładzał obolałe ciała.

* * *

Gian mordował i palił wraz z innymi, bo takie było jego wojenne rzemiosło. Zrezygnował z niewygodnej, metalowej zbroi, która ograniczała mu ruchy, a w zamian przywdziewał ćwiekowy, skórzany kaftan. Gdy

pozbył się zwyczajowego, rycerskiego rynsztunku zdawało mu się, że zobaczył i usłyszał świat wyraźniej, ostrzej niż wcześniej, a świadomość niewidocznej ochrony dodawała mu pewności siebie. Jego towarzysze i podkomendni z zadziwieniem patrzyli, jak rzucał się w wir walki, nie dbając o życie i wychodził z niej bez szwanku. Szeptali, że bogowie upodobali go sobie i chętnie chodzili na zwiady pod jego dowództwem. A Gian, dzięki nowo wyostrzonym zmysłom, prowadził ich nieomylnie w miejsca, gdzie barbarzyńcy szykowali zasadzki lub taili się, żeby odpocząć po potyczce. Z daleka potrafił dostrzec niezwykajny ruch pomiędzy liśćmi, czy wyczuć zapach dymu z ogniska. W ten sposób znalazł ukrytą w dolinie wieś.

Podjazd, którym dowodził liczył około pięćdziesięciu regularnych żołnierzy. Odkrywszy osadę, wszyscy zalegli między krzewami i obserwowali mieszkańców, licząc, ledwie widoczne z tej odległości sylwetki. I znowu to Gian wypatrzył konie, niezwykajne w begeńskiej wsi.

– Prawie sześć dziesiątek – rachował, pomagając sobie palcami. – Musi to być kryjówka tych barbarzyńców albo na popas tylko stanęli. Trzeba ich zaatakować, nim znowu w lasy ujdą.

Żołnierze popatrzyli po sobie. Jeśli rachuba Giana była dobra, to przewaga wojska Begeńców była niewielka, ale wieśniacy i ich kobiety bronili swego życia równie dzielnie, jak woje.

– Może po posiłki posłać? – odważył się ktoś powiedzieć. – Siła ich. I pewnie czujki mają tu gdzieś rozstawione. Przyszykują się do obrony, nim dojechać zdążymy.

– Okazja sama nam się w ręce wepchnęła i zmarnować jej nie można. Wy trzej rozejdźcie się i poszukajcie straży. Reszta niech się do ataku gotuje – polecił rycerz bez cienia emocji.

Ukrytych pomiędzy krzakami strażników zamordowano sprawnie i cicho. Gian otoczył wieś kołem swoich ludzi, nakazał na majdany łuków nałożyć zapalone strzały i nie kryjąc się już, bo teren temu nie sprzyjał, oddział runął do ataku.

Płonące strzechy wyraźnie oświetliły szykujących się do obrony barbarzyńców. Nim zdążyli wystrzelić, królewscy już przeskakiwali niewysoki, osadzony na palach i wzmocniony gliną płot. Mimo, że

zaskoczeni, Bezenowie nie zamierzali łatwo sprzedać życia. Uzbrojeni w toporzyska o szerokich, opuszczonych ku dołowi ostrzach podcinali końskie pęciny, siekli po nogach i zbrojach. Loorczycy z wysokości kulbak zadawali ciosy w nieosłonięte, kudłate głowy, odcinali kończyny, kłuli piersi. Walka przerodziła się w indywidualne potyczki, a prawdziwe spustoszenie pomiędzy obrońcami siał Gian. Świadomość noszenia niewidzialnego pancerza czyniła go silniejszym i odpornym na strach, dzięki czemu mógł skupić się tylko na walce. Nie słyszał jęków umierających, nie widział, że jego żołnierze załamują się pod naporem Bezenów. Robił mieczem bez emocji, niczym rzeźnik ćwiartujący bydłce ciała, unurzany we krwi, niestrudzony. Próbowano go rozplatać toporem, zadźgać włócznią, ustrzelić z łuku, wszystko daremnie. Wydawał się nieśmiertelny. Trwożliwe okrzyki barbarzyńców wskazujących sobie Giana na nowo natchnęły Loorczyków. Kiedy padł ostatni bezeński woj, bitwa była wygrana. Ocaleli żołnierze zgromadzili w stodole wieśniaków, zaryglowali wrota i podpalili ściany. Mróz im przeszedł po kościach, nie na dźwięk wrzasków palących się żywcem ludzi, ale na widok wypranego z jakichkolwiek emocji, usmolonego oblicza dowódcy.

– Na wojnie różnie bywa – szepotali wieczorem przy obozowym ognisku.
– Niektórym zabijanie radość niezwykłą sprawia, innym rozum się miesza, albo strach im się nawet odlać nie pozwala. Ale taką obojętność tylko szalenieć może okazać. Ludzi wygubił prawie do imentu, bo ilu nas zostało? Ledwie siedmioro z życiem uszło...

– Dziecko jakieś o ścianę rzucił i ani spojrzał, jak mózg się rozbryztał...

– A widzieliście, jak naszych dobijał? Rzeźnik!

– Nic innego tylko złe go jakieś opętało, tfu na psa urok...

Gian złożył raport, owinał się w derkę i spoczął, zmęczony. Przez cienkie ściany namiotu słyszał wyraźnie każde słowo swoich podkomendnych.

Czy ja naprawdę jakieś dziecko o ścianę rzuciłem? – zdziwił się w duchu. Wtedy przed oczami stanęła mu umorusana buzia i wielkie, wystraszone oczy. Rzeczywiście, pomyślał i zasnął.

Zbudził się w nocy dręczony snem o jasnowłosej kobiecie, z oczami błękitnymi jak niezapominajki. Stała obok, tak blisko, że wystarczyło

wyciągnąć rękę aby jej dotknąć, ale za każdym razem, kiedy próbował to zrobić, sylwetka rozmywała się, nikła. Śnił ten sen od paru tygodni i za każdym razem obraz stawał się coraz bardziej niewyraźny, zamglony. Jeszcze parę nocy temu potrafił nadać imię nawiedzającej go zjawie, ale teraz i ono umykało mu z pamięci. Poszukał w ciemności pasa i zacisnął dłoń na niebieskiej wstążce, ale ten gest nie przyniósł mu ulgi. Zasnął wreszcie, zmęczony i niespokojny.

* * *

W królewskim namiocie trwała narada. Król, baron Calik i doradca Marsall pochylali się nad nieudolnie narysowaną kartą z zaznaczoną trasą przemarszu.

– Cośmy mieli pokazać, pokazaliśmy – dowodził baron ze śpiewnym akcentem południowców. – Czas się wycofać.

– Nie – zaprotestował Marsall. – Ledwie parę band rozbiliśmy, to wszystko. Nie taki był nasz cel.

– Więc gdzie te wojska, ta armia, którą w Susuzie straszyleś?

– Tłumaczyłem już... – powiedział zmęczonym głosem doradca. – Begenowie państwo tworzą. To już nie horda barbarzyńców, parę plemion, które łatwo w ryzach utrzymać. Księcia między sobą obrali i doradcę z AkaDor wzięli. Pewnie wojska mają mało, dlatego zamiast do otwartego boju stawać, szarpią nas jak wilki. Ale póki w siłę nie urosli, zgnieść ich możemy łatwo, potem, któż wie...

– Łatwo! – prychnął Calik, aż kropelki śliny rozbryznęły się w powietrzu. – Powiadasz: łatwo, a ja ci mówię, że ta szarpana wojna więcej nas ludzi kosztuje niż regularna bitwa. Wyszliśmy z czterema tysiącami, ile mamy dzisiaj? Ledwie dwa! Nim do bitwy przyjdzie zostanie nas może tysiąc!

– Nie moja to wina, że tylko cztery tysiące żołnierzy zabraliśmy z Loor. Tu i dwa razy tyle mogłoby być mało – zaperzył się Marsall. – Ale stało się, jak się stało, nie czas nam teraz dowodzić kto miał rację, ale plan uszykować, jak Begenów do bitwy zmusić.

– Panie – zwrócił się baron do przysłuchującego im się ze zmarszczoną brwią króla. – Posłuchaj dobrej rady żołnierza, który na wojnach zęby zjadł. Wycofajmy się, póki jeszcze kto żyw został. Wstydu w tym żadnego dla nas nie ma, bo wytlukliśmy to plemię niczym wszy na grzebieniu...

Darłyk zamyślił się. Od początku kampanii targały nim wątpliwości. Jako młody władca chciał się pokazać z najlepszej strony, ukarać zuchwalstwo barbarzyńców, dokonać zemsty. Ciągnęło go też na wojnę, marzyły mu się śmiałe wypadki i bohaterskie czyny.

Już na początku przygotowań przekonał się, że nie tak łatwo zaplanować kampanię. Musiał zdecydować o liczebności wojsk, zaopatrzeniu, trasie przemarszu, przestudiować raporty szpiegów. Okazało się też, że nie wszyscy lordowie z jednakowym entuzjazmem odpowiedzieli na jego wezwanie i ociągali się z wystawieniem wojska. Może wątpili, czy siedemnastoletni młodzieniec poradzi sobie na wojnie?

W miarę, jak posuwali się w głąb wrogiego terytorium niepewność Darłyka zamieniała się we wściekłość. Było, jak mówił Calik – Begenowie szarpali ich, szykowali zasadzki, mordowali z ukrycia, nie dając szansy na obronę. Jego wojska ponosiły klęskę za klęską. Mimo to starał się myśleć rozsądnie, nie pozwolić, by złość wzięła górę nad rozumem, ale zgadzał się z doradcą, wycofanie się oznaczało porażkę, nie zwycięstwo.

– Idziemy dalej – odezwał się po dłuższej chwili. – Odwrót kosztować nas będzie tyle samo ludzi, co marsz do przodu.

Uniósł rękę, nakazując milczenie otwierającemu już usta Calikowi.

– Doradca ma rację, jeśli nie pokonamy ich dziś, to kiedy? Z następną wiosną, jak lepiej się uzbroją i pobudują graniczne stacje? Albo wygubimy ich teraz, albo nigdy – dokończył twardo.

* * *

Zdziesiątkowana armia ruszyła dalej, posuwając się w kierunku majaczących na horyzoncie gór. Begenowie nękali ich nieustannie, ale ich ataki stały się bardziej wyważone i nadchodziły z jednego tylko kierunku, od strony gór właśnie. Nim wojsko stanęło na przedgórzu stało się jasne, że tu właśnie, a nie na lesistej równinie bije serce barbarzyńskiego narodu.

Otoczone z jednej strony przetrzebioną mocno puszcza, a z drugiej górami rozciągały się pola uprawne i ogrodzone palisadami osiedla.

Wreszcie ziściło się marzenie Calika o jednej, rozstrzygającej bitwie. Wojska królewskie rozłożyły się na skraju lasu, na tyle jednak daleko od pierwszych drzew, by nie zostać zaskoczonym niespodziewanym wypadem z tyłu. Przed nimi rozciągało się łagodnie nachylone zbocze, zasłaniające widok na usytuowane w dole osady, ale obejść go było nie sposób. Na szczycie zalegli Begenowie, gotując się do boju.

Długo po zmierzchu król i dowódcy ślęczeli nad mapą. Ułożono na niej patyki i kamienie, żeby uwidocznic oddziały swoje i wroga, i znaleźć najlepszy sposób ataku i obrony. Darlyk wspominał przy tym czas spędzony w bibliotece i opowieści starego Jamarla o bojach toczonych przed wiekami, taktyce, rycerskim honorze i lisich podstępach dowódców. Wreszcie plan był gotowy.

W pierwszej linii stanęła piechota złożona z oddziałów regularnego wojska, uzbrojona we włócznie i ciężkie tarcze, osłaniająca łuczników i procarzy, za nimi rozłożyły się tabory. Jazda cofnęła się pod las, tworząc dwa skrzydła ukryte pod osłoną drzew.

Ledwie się rozwidniło, na przedpole wyjechało paru rycerzy gotowych stoczyć honorowe pojedynki dla chwały i przykładu, ale barbarzyńscy łucznicy zmiotli ich swoimi strzałami. Zaległa cisza, ciężka, przytłaczająca, pełna oczekiwania. Czas mijał, a nic się nie działo. Ludzie ściskali włócznie lepkimi od potu dłońmi, nasłuchując łomotu swych serc. W każdej chwili oczekiwali rozkazu podejścia na stok, ale dowódcy milczeli, wyglądając niespokojnie królewskich posłańców. Kiedy już zdawało się, że naprężone mięśnie nie utrzymają dłużej ciężaru drzewca czy miecza, rozległo się wycie Begenów, a w chwilę potem, ze szczytu wzgórza, wprost na uszykowane linie piechoty, zaczęły spływać jak lawina zastępy barbarzyńców. Wyglądali niczym upiory, z pomalowanymi twarzami, z rozwianymi włosami, z ostrzami toporów błyskającymi w słońcu, wyjąc i wrzeszcząc. Królewscy trwali w miejscu, zsuwając tarcze i wystawiając włócznie. Zza ich pleców procarze i łucznicy wypuścili chmurę kamieni i strzał, ale nie udało im się zatrzymać tej rozpędzonej ludzkiej rzeki. W

następnej chwili Begenowie dotarli do pierwszej linii Loorczyków, miażdżąc ich, wgniatając w ziemię.

* * *

Oddział lekkiej jazdy, którą dowodził Gian oczekiwał ukryty w wąwozie, na sygnał do ataku. Cały poprzedni dzień spędzili w lasach, omijając wrogie straże, zapadając w chaszczce, żeby znaleźć najkrótsze przejście do leżących w dolinie wiosek. Mieli zaskoczyć i wymordować wieśniaków, spalić domy, zniszczyć zieleniące się zboża, by odwrócić uwagę begeńskich wojowników i zmusić do odwrotu.

Wojsko tkwiło karnie, ale na żołnierskich twarzach znać było napięcie. Konie wyczuwały zdenerwowanie jeźdźców, dreptały niespokojnie w miejscu, parskając i rżąc. Jedynie Gian był nienaturalnie spokojny. Nie czuł podniecenia, niepokoju ani strachu, tego co było nieodłącznym atrybutem życia żołnierza. Kosmyk jasnych włosów, który wcześniej gładził machinalnie przed każdą walką, wyrzucił. Kiedy się go pozbył, nareszcie zasnął spokojnie bez dręczących obrazów, które przedtem go nawiedzały.

Teraz stał niewzruszony, mocno trzymając końskie wodze i wraz z innymi nasłuchiwał odgłosów toczącej się bitwy. Żołnierze zaciskali szczęki, międląc w ustach przekleństwa lub modląc się po cichu. Czuli, że bój nie przebiega po ich myśli.

Na głos rogu wyszli z jaru i ruszyli z kopyta wprost na leżącą przed nimi osadę.

Gian gnał na przedzie z obnażonym mieczem. Dopadł pierwszych chat i zaczął rzeź bez opamiętania, bez hamulców. Nie było w nim strachu, nie było podniecenia, tylko potrzeba mordowania.

– Jemu bogowie zabrali nie rozum, ale duszę – szepnął ktoś, patrząc na zbryzganą od krwi postać.

* * *

Begenowie pokonali piechotę i dotarli do taborów. Upojeni zwycięstwem nie zareagowali na ponure bicie bębnow wzywające ich do zwarcia szyków. Rzucili się na wozy rabując, mordując czeladź i strzegące ich odwody.

Wyjeżdżająca z lasu konnica wzięła ich w kleszcze i chociaż bronili się jak wściekłe psy, to łuna i dym widoczne zza wzgórza złamały ich ducha. Bitwa przemieniła się w rzeź.

DŁUG

Równinę Kości przemierzała karawana składająca się z chłopskiej fury zaprzężonej w parę koni, którymi powoził ubrany w kolczą zbroję i hełm wojownik oraz jadącego obok wozu jeźdźca. Furę wymoszczono sianem zapewne dla wygody leżącego na niej, pogrążonego we śnie mężczyzny. Obok śpiącego rzucono niedbale odarty ze skóry, jeszcze kapiący krwią, jeleni udziec. Konie, niezwykajne do chodzenia w zaprzęgu, parskały i szarpały, zawzięcie gryząc wędzidła. Woźnica ścigał lejce, żeby zapanować nad nerwowymi zwierzętami i kłął pod nosem. Co raz spoglądał w stronę jeźdźca, ale konny zdawał się nie słyszeć jego słów, nie widział kości odsłoniętych przez koleiny wyryte drewniane kołami. Siedział wyprostowany w siodle, ze wzrokiem utkwionym w kamienną wieżę sterczącą dumnie pomiędzy wypalonymi ruinami zamku.

W miarę zbliżania się do murów Pelandoru w otaczającą ich dotąd ciszę wdarły się odgłosy bitwy, jęki umierających, świst strzał. Rozglądali się wokół, nie dowierzając zmysłom, lękając się niewidzialnego.

– Pomóż nam, Halefen – modlił się bezgłośnie jeździec. – Błagam ucisz te głosy.

Ale bogini zdawała się być głucha na prośby, a oni w każdym tchnieniu wiatru słyszeli skargę, ból i śmiertelną trwożę. Tylko leżący na wozie mężczyzna spał spokojnie, a jego snu nie mąciły żale umarłych.

Kiedy wjechali wreszcie za wyszczerbione mury, głosy ucichły. Długo trwało nim przyszli do siebie, opanowali drżenie rąk, odsunęli strach. Woźnica zsunął się z kozła, wziął na plecy śpiącego, zabrał mięso i podążył w stronę wieży. Jeździec zaopatrzył konie i poszedł za nim.

Stanęli na wprost lustrzanych kamieni odbijających ich sylwetki, ukazujących brudne, zmęczone twarze i rozbiegane spojrzenia. Jeździec długo patrzył na swoją postać w zbyt obszernej kolczudze, w opadającym na oczy hełmie, spod którego wystawały jasne loki włosów. Zdjął rękawicę

i dotknął zimnego kamienia, jakby chciał się upewnić, że to rzeczywiście jego odbicie.

...dotknęła twardych gruzłów mięśni i zanurzyła dłoń w ciemnych włosach leżącego obok Giana. Jego ciało natychmiast odpowiedziało na pieśczołę, a ona poczuła, jak ogarnia ją fala spełnienia. Mąż trzymał ją w uścisku i gładził po twarzy, odsuwał spadające do oczu kosmyki. Przez otwarte okno słyhać było śmiech Williama...

– Pani Elaine?

Arbał, wojownik dźwigający ciągle uśpionego mężczyznę, szarpnął nią, ratując przed upadkiem do wnętrza wieży. Spoglądał podejrzliwie na zaczerwienie policzki, na drżącą dłoń, którą mimowolnie szukała stopionego z nią w jedno Giana.

– Idziemy – powiedziała szorstko.

* * *

Ciało maga wibrowało podnieceniem. Umysł przepełniały mu obrazy splecionych ciał i poczucie jedności z kochankiem, nasycenie szczęściem, spokój i poczucie bezpieczeństwa. Pierwszy raz zdarzyło się, że nie tylko kradł uczucia, ale uczestniczył w nich osobiście. Dotykając lustrzanego kamienia Elaine obnażyła przed nim duszę, podzieliła się nie pragnieniem, ale uczuciem. Kiedy kontakt się urwał, chciało mu się wyć z żalu i osamotnienia.

* * *

Arbał przyrządzał obiad. Zapach pieczonego na rożnie mięsa przypominał wszystkim o głodzie, sprawiał, że usta pełne były śliny, a żołądek się kurczył. Nawet śpiący musiał czuć ten aromat, bo marszczył nos i oblizywał się przez sen.

Alaukadus trzymał Elaine za rękę i słuhał nieskładnej opowieści snutej głosem pełnym żalu i udręki.

– ...nie chciałam, żeby tu przyjeżdżał i szukał pomocy u maga, ale on się uparł niczym najgłupszy muł. Nic nie mogło go przekonać. Wrócił taki dumny, taki zadowolony i pojechał na tę przeklętą wojnę... Tak bardzo za

nim tęskniłam, co dzień modliłam się, żeby do mnie wrócił, zanosłam ofiary, z posagu ufundowałam świątynię. I wrócił, o bogowie, wrócił, wiedziony przez towarzyszy. Wybiegłam mu naprzeciw, całowałam po rękach, płakałam z radości, a on..., on nawet na mnie nie spojrzał. Odsunął mnie jak... rzecz, która mu stoi na zawadzie, jakby mnie nie znał, nie pamiętał, nie kochał... Pobiegłam po Williama, podałam do rąk... To przecież jego pierworodny, dziedzic... – rozszlochała się na to wspomnienie, a Alaukadus czuł tę rozpacz i z oczu ciekły mu łzy bólu, upokorzenia i strachu.

– Płacz Williama musiał go zezłościć... Spojrzałam mu w oczy... Bogowie, nigdy w życiu tak się bałam... wiedziałam, że jeszcze chwila... Zabrałam dziecko, uciekłam... Schowałam się w jakimś kącie i płakałam, aż mi łez zabrakło... Odesłałam Williama, piastunka zawiozła go do moich rodziców.

Gian nie rozmawia ze mną, nie patrzy. Kiedyś wszędzie go było pełno, ryczał na służbę, aż echo szło po murach, śmiał się i pił z drużynnikami, żartował z dziewczkami, aż mi było zazdrość, a teraz... Czasem myślę, że to nie mój małżonek, nie mój Gian, ale jakaś kukła, która chodzi, je, pije, ale w środku ma jeno trociny. Najgorzej, że czasem szął go jakiś ogarnia... Kmiecie przyszli, żeby spór rozsądzić, a on miecz na nich wyciągnął, dobrze, że uciekli... Szopę spalił, sługę na śmierć zakatował... Ludzie mu z drogi schodzą, drużynnicy rozjechali się, niby to w odwiedzinach, ale ja wiem co szeptali..., jeno Arbal został, oni zawsze byli niby bracia, od maleńkości razem chowani. Znachorka dała mi zioła. Dosypałam mu do wina, tak go tu przywieźliśmy...

Urwała, by obetrzeć twarz. Łzy wyżłobiły ślady na umorusanej skórze. Zaczerwienione oczy straciły blask i urodę, potargane włosy sterczały niczym u stracha na wróble. Alaukadus szponiastą dłonią otarł jej twarz, pogładził włosy, bezsensownie starając się przywrócić im ład. Straciła jego rękę, spojrzała wrogo, głos jej się załamał.

– Tyś to wszystko sprawił magu, zakładając mu tę przeklętą zbroję! Może ona ocaliła jego ciało, ale zniszczyła ducha... Lepiej nam było zdać się na miłosierdzie bogów... Gdyby żyw powrócił, miłowalibyśmy się jako

dawniej, a jakby śmierć go dosięgła, oplakiwałabym go do końca mojego żywota... Lepszy już martwy, niż taki żywy trup...

Zakryła usta, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie co powiedziała, ale trwało to tylko chwilę. Alaukadus czuł jej wstyd, kiedy ta myśl, dotąd starannie ukrywana, wydobyła się na powierzchnię i ulgę, że to się wreszcie stało.

– Nie chciałby tak żyć, nie on, nie mój Gian – szepnęła.

– Przywiodłaś męża, żebym go zgładził?

– Nie! – zachnęła się. – Zdejmij mu tę przeklętą zbroję, uwolnij go z tego jarzma, a mnie przywróć mężczyznę, którego pokochałam. Niech wrzeszczy, przeklina, obłapia dziewczki po kątach i... uśmiechnie się do mnie choć raz, tak jak dawniej. Niech weźmie na ręce naszego synka, przecież to jego pierworodny... Błagam cię, magu, błagam.

– A co w zamian?

Elaine zastygła na chwilę, zaskoczona pytaniem.

– Złoto ani inne bogactwa ci nie potrzebne, zapłaty żadnej nie chciałeś, prawda? – powiedziała wreszcie z namysłem. – Ale ludzi mogę najać, żeby polowali i kobietę, która gotować ci będzie, choćby do końca twojego żywota.

Alaukadus zaniósł się skrzekliwym śmiechem, aż mu śluzki pociekły po policzkach.

– Do końca mojego żywota, powiadasz – mruknął w końcu. – Zastanowię się. A teraz zjedzmy wreszcie...

Kolacja przebiegła w ponurym milczeniu. Ciszę przerywało tylko mlaskanie maga i chrzęst kości miażdżonych przez Arbała.

Elaine spędziła noc przytulona do ciągle uśpionego, obojętnego Giana. Szukała w nim siły i pociechy, a znalazła tylko pustkę. Przez tę noc jasno zdała sobie sprawę, że powiedziała magowi prawdę. Wolałaby widzieć męża martwego, niż pogrążonego w tej apatii, lub owładniętego szaleństwem zabijania. Wstała zmęczona i przestraszona, z duszą równie obolałą co ciało.

W komnacie maga było ciemno. Na ozdobionym rzeźbieniach stole stał świecznik z wypaloną świecą. Spływający z niej wosk oblepił metal, poplamiał stół. Alaukadus siedział w tym samym miejscu, w którym go

zostawiła po wieczerzy, z oczami wbitymi w ogarek. Przestraszona dotknęła jego dłoni, a kiedy spojrzał przytomnie, odskoczyła jak oparzona.

– Myślałam, że..., że umarłeś.

– Jeszcze nie tym razem – odrzekł mag. Niespodziewanie wyciągnął wykręconą dłoń i dotknął jej włosów, a potem policzka. – Ile masz lat?

– Na wiosnę skończyłam osiemnasty rok – wybąkała kobieta, myśląc o zapłacie, którą mógł naznaczyć starzec.

– Nie. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym cię pojąć... – powiedział Alaukadus w odpowiedzi na jej myśli. – Po prostu..., znajduję przyjemność w dotknięciu żywego ciała, młodego ciała. Na dodatek jesteś kobietą. Czy wiesz, jak dawno nie widziałem kobiety? Sam już nie pamiętam. Porozmawiamy po śniadaniu, a teraz pozwól mi jeszcze przez chwilę popatrzeć na siebie, bez zobowiązań, bez umizgów i próśb – poprosił łagodnie.

Elaine rozluźniła się, uspokoiła. Powodowana impulsem musnęła wargami pomarszczony policzek. Przez chwilę poczuła się, jakby na nowo dotknęła lustrzanego kamienia wieży, ale teraz odczytywała nie swoje pragnienia, ale siedzącego obok starca.

...ogarnęła ją pustka. Czowała się, jak trup pozbawiony radości czy smutku. Wokół niej lśniły wypolerowane kamienie wieży, po wielokroć odbijające samotną postać. Poza nim we wnętrzu lustrzanych ścian nie było nic, tylko cisza martwego miasta...

Drgnęła gwałtownie wstrząśnięta tym, co przez chwilę było jej dane poczuć. Alaukadus skrzywił się w niby-uśmiechu odsłaniając bezzębne zęby i cofnął dłoń.

* * *

– Pomogę twojemu rycerzowi – powiedział mag po śniadaniu. – Ale, pamiętaj, Gian ma wobec mnie dług do spłacenia.

Elaine spojrzała bezradnie na męża, który obudził się wreszcie z letargu spowodowanego ziołami, lecz on słuchał, nie słysząc.

– Pani... – zaprotestował Arbal, ale kobieta podjęła już decyzję.

Mag powiódł ich do podziemi i zatrzymał się w pełnej retort pracowni.

– Rozdziejcie go – polecił zajęty szykowaniem jakiejś mikstury. Kiedy skończył, nałożył skórzane rękawice i zaczął wcierać płyn w skórę Giana.

– Nie ważcie się go dotykać, nie podchodźcie, choćby krzyczał jak potępieniec – ostrzegł.

Skinęli głowami, patrząc jak ciało mężczyzny czerwienieje, jak tworzą się na nim podeszłe krwią pęcherze.

– Trzeba zbroję oddzielić od skóry, rozpuścić – mruczał Alaukadus pod nosem. – To może być bardzo, bardzo bolesne.

Pęcherze nabrzmiwały, a stojący dotąd spokojnie Gian najpierw jęknął, a potem zaczął krzyczeć. To był najstraszniejszy krzyk, jaki Elaine słyszała w życiu. Zakryła uszy, ale wciąż słyszała pełen niewysłowionego cierpienia głos męża.

Nie wiedziała, jak długo oszalały Gian miotał się po piwnicznej komnacie, nie zauważyła chwili, kiedy bąble zaczęły pękać, a zaczerwieniona od krwi zbroja odpadać od skóry. Dopiero, kiedy osłabły mężczyzna przewrócił się i mag polał go wodą, aby złagodzić ból, dostrzegła okrwawione szczątki leżące na zakurzonej podłodze. Wyglądały jak wężowa skóra.

– Spalcie to – polecił Alaukadus, wskazując na tłący się kominek.

Nic nie sprawiło Elaine większej przyjemności niż wrzucenie do ognia tego obmierzłego pancerza, złodzieja duszy.

Gian jęczał i wił się na podłodze w kałuży krwi. Kiedy dotknęła jego głowy, na palcach zostały jej resztki włosów.

– Odrosną – burknął Alaukadus. – Albo i nie – dodał po chwili namysłu.

Kobieta roześmiała się przez łzy.

* * *

Przez następne dni Gian powoli dochodził do siebie. Jego ciało krwawiło, choć nie widać było ran, poza tymi, które sam sobie zadał w męce. Alaukadus poił go miksturami sprowadzającymi sen, aż wreszcie silny, młody organizm zmógł słabość. Znacznie dłużej trwało nim zagubiony umysł odzyskał równowagę. Tu nie mogły pomóc magiczne eliksiry ani ziołowe okłady, pamięć musiała sama odnaleźć zagubione obrazy,

dopasować do nich imiona i nazwy. Przyszedł jednak dzień, kiedy Gian okręciwszy sobie wokół palca kosmyk jasnych włosów pochylonej nad nim kobiety, szepnął:

– Elaine. Moja Elaine...

Te słowa, jak magiczne zaklęcie uchyliły bramę pamięci. Od tej chwili, z każdym dniem, z każdą godziną, przypominał sobie więcej i więcej, nie tylko o troszczącej się o niego kobiecie, ale o otaczającym go świecie i o sobie samym. To nie zawsze były dobre wspomnienia, ale musiały zostać wydobyte na powierzchnię, by Gian na powrót mógł nazwać siebie człowiekiem. Kiedy wreszcie poczuł się silniejszy i odnalazł kruchą równowagę pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, odział się i powlókł do Alaukadausa.

Mag siedział w swoim ulubionym krześle przed kominkiem, kręcąc palcami młynka. Wyglądał, jak zdziecinniały staruch, któremu pomieszał się rozum, mimo to Gian uklęknął przed nim i pocałował w rękę.

– Dziękuję. Do końca życia nie wypłacę ci się za to, coś dla mnie uczynił... Powiedz, co mógłbym zrobić? Jak mam spłacić swój dług?

– Kiedy chcielibyście odjechać? – spytał starzec, usuwając ręce.

– Jak najszybciej. Nawet jutro. Arbał mówi, że kończy się obrok dla koni, a ja chciałbym zobaczyć swojego syna – powiedział cicho rycerz z zawstydzeniem, zerkając na stojącą w progu Elaine.

Alaukadus wstał, podszedł do swego lustra i spojrzał na jego zmatowiałą taflę, powiódł palcami po gładkiej powierzchni, a potem niespodziewanie, jednym zdecydowanym ruchem strącił go na podłogę. Kamień pękł wydając przykry, jękliwy ton.

– Jutro spłacisz swój dług, rycerzu – powiedział głucho.

– Jak?

– Zabierzesz mnie stąd.

– Chcesz stąd odejść? Tylko tyle? – wyjąkał osłupiały Gian.

– Aż tyle... – zawiesił głos Alaukadus. Odwrócił się do ściany i dotknął jej. Lustrzana czerń ustąpiła, ukazując ponury krajobraz.

– Dzień po dniu, rok po roku obserwowałem te ruiny, aż stałem się równie martwy jak one. Gdzieś tam, obok, toczy się życie wypełnione radością narodzin i smutkiem śmierci, nadzieją... Podglądałam je od lat.

Jestem jak złodziej zakradający się nocą do uspiętego domostwa, ale zamiast grabić złoto kradnę wasze uczucia, bo moje już dawno zgasły, odeszły zapomniane...

Gian wzdrygnął się, twarz wykrzywił mu ból. Elaine podeszła i położyła rękę na ramionach, jakby chciała użyć mu swojej siły, osłonić go przed trzęsącym się starcem.

– Dlaczego? – spytała.

– Byłem magiem, jednym z tych, którzy pomagali zdobywać to cudowne miasto. Niewielu nas ocalało... Magia Najstarszych była silniejsza od naszej, bardziej, jakby tu rzec, subtelna. Nie jakieś tam ogniste kule czy błyskawice, o nie... To było coś, co działało na duszę, na zmysły, tak jak twoja zbroja, Gian. Pożądałem tej magii, pragnąłem jej. Uświadomiłem to sobie, kiedy dotknąłem lustrzanych kamieni wieży... Wtedy zdradziłem swoich, nie wydałem im Najstarszego, który ukrył się w tutaj. Puściłem go wolno w zamian za wiedzę, którą mi przekazał. W ciągu jednej nocy stałem się najpotężniejszym magiem na świecie. Uwolniłem Najstarszego, zgodnie z umową, a on przeklął tę ziemię, przemienił ją w jałową pustynię, wzmocnił czar swoją krwią, bo odebrał sobie życie na oczach tych, którzy uważali się za zwycięzców. Powinienem wtedy odejść, ale byłem zbyt zachłanny... Moje pragnienia spełniły się. Jestem najpotężniejszym magiem Starego i Nowego Świata, posiadam niewyobrażalną moc, jestem nieśmiertelny... i od pięciuset lat jestem więźniem. Moja moc uwięziona jest w tych ścianach, zaklęta w kamieniach. Setki razy chciałem uciec, ale zawsze ogarniał mnie lęk... Co dnia umieram i co dnia zmartwychwstaję, coraz słabszy i słabszy. Wieki mijają, a ja wciąż żyję. Nie tak wyobrażałem sobie nieśmiertelność... Pewnie w ten sposób płacę moją cenę za chciwość i za zdradę. Czy dalej z ochotą spłacisz swój dług, rycerzu?

Gian objął wzrokiem trzęsące się, powykręcane ze starości dłonie i zdeformowane ciało.

I ja zapłaciłem podobną cenę za moje pragnienia, pomyślał.

– Tak – powiedział pewnie. – Jeśli jesteś gotów porzucić wieżę, chodź z nami. W moim zamku znajdziesz schronienie, choćby po kres wieczności. Prawda, Elaine?

Kobieta patrzyła na zaczerwienione oczy Alaukadausa i na szponiaste palce ściskające mocno rękaw szaty. Powoli skinęła głową.

– Więc gotuj się do drogi, magu. Jutro opuścisz to przeklęte miejsce.

Resztę dnia i noc stary mag spędził, drepcząc po komnatach i podziemiach. Grzebał w kufrach, przeglądał rzeczy. Niektóre z nich odstawiał na miejsce, inne chował do sakwy.

Rankiem stanął przygotowany do drogi, ubrany w szarą szatę adepta magii. Sakwę wcisnął do rąk Gianowi.

– Jest dla mnie za ciężka – wytłumaczył się. – Jesteście gotowi?

Zeszli w dół, drzwi uchyliły się. Na zewnątrz czekał Arbal trzymający parskające rażno konie.

Gian pospieszył do wyjścia i przestąpiwszy próg wyciągnął rękę.

– Jesteś pewien? – spytała starca Elaine, patrząc jak drży.

Alaukadus pogładził ją po policzku i uśmiechnął się.

– Już czas.

Jedną dłonią schwycił wyciągniętą rękę Giana, drugą zacisnął na drobnej rączce kobiety.

– Już czas – powtórzył i przekroczył wyjście.

W jednej chwili Elaine i Gian poczuli jak żywe, zamknięte w ich dłoniach ciało wiotczeje, zanika. Przez moment jeszcze trzymali w rękach kruche kości, ale i one rozsypały się w proch, połączyły z wyschniętą ziemią, zniknęły. Za nimi bezszelestnie zamknęły się drzwi Wieży Pragnień, lustrzane kamienie zmatowiały.

Gian przytulił Elaine, delikatnie otarł toczące się po policzkach łzy.

– On wiedział co się stanie. Widziałam to w jego oczach... – szepnęła.

– To był jego wybór – powiedział równie wstrząśnięty Gian. – Nigdy nie zapomnę co dla mnie zrobił, ale teraz czas wracać do domu. Chcę zobaczyć syna.

Iwona Lidia Surmik

o książce *Wieża pragnień*

Gian wiódł hulaszczę, popędliwe życie do czasu, gdy poznał Elaine. Długo starał się o jej rękę i gdy w końcu zaznał u jej boku małżeńskiego szczęścia, rozpętała się wojna, w którą musiał wyruszyć, jak na honorowego rycerza przystało. Aby mieć pewność, że zdoła wrócić żywy do ukochanej kobiety, prosi o wsparcie maga z zamku Pelandor. Ten oferuje mu zbroję, która nie przepuści żadnego uderzenia. Problem w tym, że pancierz staje się integralną częścią swojego nosiciela.

Contents

Wieża pragnień

Copyright

WIEŻA PRAGNIENÍ

4. książce Wieża pragnień

IWONA
SURMIK

WIEŻA PRAGNIEŃ

 SAGA

